

Chrust i Kosmonauci

Tajemnicą poliszynela jest, że karierę muzyczną od jakiegoś czasu robi się w internecie, a nie grając koncerty w klubach. Słuszność tej intuicji potwierdzili choćby Kasia i Jacek Sienkiewiczowie – rodzeństwo tworzące Kwiat Jabłoni. Podczas spotkania w ramach tegorocznego Great September wspominali, jak po wrzuceniu do sieci pierwszego utworu „Dziś późno pójdę spać” urządzili świętowanie tysiąca odtworzeń i zastanawiali się, czy mają już skomentować ten sukces na Facebooku. Ostatecznie wrzucili post, gdy utwór po kilkunastu tygodniach osiągnął 100 tysięcy odtworzeń.

Zatem mówienie o Great September jako o miejscu, gdzie wykuwają się kariery nieznanych zespołów, które prezentują się publiczności na małych koncertach w klubach, jest jedynie zabiegiem marketingowym. Showcase’owy festiwal to przede wszystkim impreza branżowa i sposób na zmonetyzowanie przez organizatorów słupków popularności w streamingu początkujących wykonawców. Ale organizatorzy raczej nie nastawiają się na wpływy ze sprzedaży dosyć drogich karnetów (230 zł). Płaci miasto i sponsorzy, a publiczność koncertów klubowych stanowią głównie tzw. delegaci – przedstawiciele agencji promocyjnych, wytwórni płytowych, portali internetowych, rozgłośni radiowych i gazet (ponad 650 osób z akredytacjami). Organizatorzy dostarczają więc także publiczność.

Nie znaczy to oczywiście, że jestem przeciwnikiem Great September w Łodzi. Miasto ma jeszcze jeden duży event, pozostaje w świadomości ludzi zarządzających polską branżą muzyczną. Mieszkańcy – przyjmijmy, że to jeszcze jeden sposób na spędzanie wolnego czasu – mogą wędrować po klubach w centrum, słuchając młodej muzyki. Szkoda tylko, że programerzy festiwalu pomijają dużą część muzycznego spektrum – w programie nie ma m.in. metalu, rocka progresywnego, bluesa, alternatywy. Dominuje electro pop, czyli mainstream, któremu w tym roku jako alibi dorzucono postpunk i jazz – dosłownie kilka zespołów. Nagłośnienie również nie zachwycało. Najgorzej słychać było w salce 6 Dzielnicy i w piwnicy Wooltury. Dobrze brzmiały koncerty w Teatr Clubie i AOIA. Różnie bywało w Łodzi Kaliskiej, zwłaszcza na górnej scenie.

Tym większe wyzwanie stało przed zespołami. Żeby nie zdawać się na przypadek, w internecie zapoznałem się z muzyką około 70 wykonawców, których wcześniej nie znałem. Wytypowałem kilkunastu, którzy wydali mi się obiecujący i których postanowiłem odwiedzić na koncercie. Ostatecznie w tym roku przynajmniej połowa wybranych wykonawców nie sprawdziła się podczas występów na żywo. Byli wśród nich debiutanci, którzy „wykręcają” swoje nagrania w domu, i tacy, którzy działają pod skrzydłami wytwórni płytowych, korzystając ze wsparcia agentów.

Odpuszczę sobie pisanie o tych, którzy mi się nie podobali, a skupię się na moich odkryciach. Rzeczywiście to były olśnienia. Gdy usłyszałem pierwszy utwór gdańskiego zespołu folkowego Chrust, a zwłaszcza genialny wokal Małgorzaty Oleszczuk, pomyślałem: nareszcie na tym festiwalu ktoś potrafi śpiewać. Electro-akustyczna propozycja Chrustu, inspirowana motywami ludowymi, na scenie przybiera postać szamańskiego, pełnego muzycznej dramaturgii spektaklu z wibrującym, potężnym głosem niczym Elizabeth Fraser czy Lisa Gerrard (jeśli przesadzam, to niewiele). Trzymam kciuki za Małgorzatę Oleszczuk – oby jej talent miał szansę się rozwijać.

Tego samego życzę chłopakom z jazzowej formacji Kosmonauci z Bielska-Białej. Wrażenie zrobiła na mnie dojrzałość muzyczna młodych instrumentalistów (wibrafon, saksofon, bas i perkusja). Łącząc brzmienia akustyczne z elektroniką, poruszają się w rejonach dość wymagających. Trzymają się melodii, ale jednocześnie eksperymentują z formą, ocierając się o free. Zachowują przy tym

dyscyplinę i zwartość, dzięki czemu ta muzyka się broni i działa na emocje słuchaczy.

Trudno tu mówić o odkryciu, ale bardzo dobrze wypadł występ Patryka Pietrzaka & Kaprysów (były wokalista łódzkiego Ted Nemeth, za chwilę ukaże się jego druga solowa płyta). Ciekawie zaaranżowane, drapieżne, przebojowe piosenki porwały publiczność. No, ale Pietrzak to „stary” wyjadacz, który z niewiadomych powodów jeszcze się nie przebił. Może teraz.

Zaciekawiło mnie trio Wilson Wilson, którego propozycja była wyraźnie inspirowana twórczością i klimatami Dead Can Dance, tym bardziej, że głos i sposób śpiewania wokalisty przypominały Brendana Perry’ego. To akurat bliskie mi rejony, nic więc dziwnego, że Wilson Wilson do mnie trafił. Natomiast Zaleś, choć to absolutnie nie moja bajka, zaimponował mi profesjonalizmem występu i ciekawym, mocnym głosem. Towarzyszący mu Benio i Janeczek, obsługujący głównie elektroniczne instrumentarium, sprawnie odtworzyli dość skomplikowaną produkcyjnie muzykę. Electro pop czerpiący z hip-hopu, melodyjne refreny i fragmenty rapowane w połączeniu z oryginalną osobowością sceniczną Zalesia zrobiły na mnie wrażenie.

Radość moich odkryć studzi jednak smutek płynący z obawy, że to niestety nie talent decyduje o karierze w czasach, kiedy muzyka przestała być opowieścią o nas i o świecie, a jej rola sprowadzona została do regulatora tętna i samopoczucia słuchaczy – jak mówił Jarek Szubrycht z „Gazety Wyborczej” podczas panelu z radiową Trójką „Muzyka w mediach – czy wszystko gra?”.

Bogdan Sobieszek